

QUILLER COUCH.

## SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

15)

6 października. Godzina czwarta po południu. W nocy, około wpół do drugiej spałem jeszcze, gdy pani Concanen zbudziła mnie, bo usłyszała szmer przy okienku. Buntownicy przekonani, że to jest jedyny punkt, w którym da się nas skutecznie zaatakować bez niebezpieczeństwa dla siebie samych, przymocowali do drągów długie noże i próbowali na oślep pomordować nas tą pospolitą kuchenną bronią. Tak jeszcze było ciemno, że celnie mierzyć nie mogłem, lecz bądź co bądź parę strzałów, danych szybko jeden po drugim, zmusiły zbrodniarzy do cofnięcia się, zniechęcając ich do dalszych usiłowań w tymże samym kierunku. Reszta nocy przesłaży dość spokojnie, gdyby nie ciągły płacz dziecka, wzbudzający w sercach zarazem litość i niepokój. Dzień dzisiejszy upłynął także bez wypadku. Kiedy niekiedy tylko od pomostu na przodzie statku dolał mi odgłos silnego kołatania w deski wznieśnienia. Prawdopodobnie zamknięci pod pomostem marynarze pragnęli wyzwolić się z więzienia.

7 października. — Nie jesteśmy niepokojeni. Zdaje się, że buntownicy pragną nas ogłodzić albo uspić wpojonem w nas fałszywym przekonaniem, że nie jesteśmy narażeni z ich strony na żadne niebezpieczeństwo, a następnie, uspokojonych, pozbawić życia jednym zamachem i niespodzianie. Ogłódzenia nie lękamy się dotąd, bo pudełko biszkoptów wystarczy na tydzień, a od biedy może nawet na dwa tygodnie, niespodziany zaś napad nie uda się im łatwo, jednc z nas bowiem czuwa nieustannie.

Zbrodniarze pili noc całą. Od czasu do czasu słyszałem donośny głos Railtona, wrzeszczącego przeraźliwie, poczem Colliver śpiewał swoją pieśń piekielną:

Wargi, kochance drogie, złośliwy ogryzł krab,  
Duszę zaś wyrwał mu z łona niemęski, podły strach.

Człowiek ten to istne wcielenie dyabła!

Mam bardzo mało czasu do pisania, bo co chwila baczyc muszę na każdy szmer, na każde podejrzenie poruszenie nad głową lub na schodach i sprawdzać, czy buntownicy nie czyhają na nas przypadkiem w jakiś nowy, świeżo wymyślony sposób. Chciałbym wiedzieć, w jakim kierunku płyną i co zamierzają uczynić z nami, jeśli zabić nas nie zdołają?

8 października. — Ciężki dzień dla marynarzy być musi, o ile sędzę z rodzaju ruchu i miotań się okrętu. Przypuszczam jednak przytem, że przeważna część pozostałej załogi leży prawdopodobnie pijana. Trzeba będzie jak najszybciej pomyśleć o sposobie pozbycia się zmarłych z kabiny, a nie śmiem mówić o tem z panią Concanen.

Nie mam słów na wyrażenie mego uwielbienia dla tej młodej i wątłej kobiety. Musiałem ją dziś uczyć obchodzenia się ze strzelbą. Sędzę, że w danym razie walczyć będzie do ostatniego tchu. Jej dziecko, biedne niewiniątko, zdaje się mocno chore. A jednak, o ile szczęśliwsze jest od nas, nie rozumie bowiem i rozumieć nie może całej ohydy i grozy naszego położenia!

9 października. Wpół do czwartej po południu. Dręczony niepokojem i bezczynnością wyszedłem dziś znowu na zwiady. Rogerson trzymał w obu dłoniach rękojeść steru, a Railton, stojący obok, rozmawiał z nim, gestykulując zwawo. Miał butelkę w ręku. Zdawało mi się, że jest bardzo pijany. W pierwszej chwili nie mogłem dostrzedz Collivera, lecz mimowolnie podniósłszy oczy w górę, między żagle i liny, ujrzałem wstrząsający widok. Na tak zwanym bocianiem gnieździe przy wielkim maszcie siedział jakiś człowiek. Wyteżyłem wzrok i poznałem go. Był to podmajstrzy okrętowy, Kelly, który zdawał się drzemać. Widocznie tam wysoko znalazł schronienie, przed złośliwą natarczywością kolegów. Tuż pod nim piął się po sznurowej drabinie w górę Colliver, trzymając błyszczący nóż w zębach. Już nie dalej znajdował się od śpiącego, jak o jakie dwa metry. Strzeliłem do niego i chybiłem, lecz zbudziłem Kelly'ego, który powstał, wyprostował się i gwałtownem szarpnięciem wyrwał z pośród lin blok żelazny, którym mógł się bronić. W tejże chwili Rogerson i Railton rzucili się na mnie.

Cofając się niezbyt spiesźnie, zsuwałem się ostrożnie po schodach. Nagle pośliznęła mi się noga i niezależnym od woli mojej, nerwowym ruchem dałem ognia z fuzyi, silnie trzymanej w dłoniach. Strzał

musiał ugodzić Rogersona, który mnie doganiał. Na raz runęliśmy obydwa. Ja pod nim, on na mnie, a chociaż rany i niezupełnie przytomny, dźgał mnie boleśnie ostrzem z za pasa wydobytego noża. W tej chwili usłyszałem drugi strzał, a równocześnie uścisk obejmującego mnie w pół ramienia Rogersona rozluźnił się zupełnie. On zaś drgnął całym ciałem i wyciągnął się na schodach jak długi, zniechęcony nagle. Pędzący za nami Railton, zaczepiwszy nogą o trupa, przewrócił się i chociaż starał się powstać, nie mógł zerwać się dość szybko. Wszystko to pozwoliło mi wbiedz w drzwi, w których stała pani Concanen z dymiącą strzelbą w ręku. Lecz, niestety, zanim zdołaliśmy je zamknąć, Colliver, który w ciągu naszej bójki zdążył wpaść na szczyt schodów, dał ognia z rewolweru kapitana Holdinga. Pani Concanen padła na wznak do kajuty. Zamknąłem drzwi i spojrzałem na nią. Biedna kobieta leżała na podłodze, z krwawiącą się raną w piersi, tuż nad samem sercem. Oczami wskazała mi dziecko, jakby polecając je mojej opiece i skończyła bez jęku.

Żaden z poetów chyba nie jest w możności stworzyć wyobraźnią tragiczniejszej sceny, jak ta, na którą bezradny patrzeć musiałem.

10 października. — Całą noc nie spałem, starając się uspokoić wciąż płaczące niemowlę i równocześnie czuwając, by bandyci nie wtargnęli do mnie podstępem lub przebojem. Morze jest strasznie wzburzone. Trupy poległych toczą się po podłodze, rozbijając się to o jedną, to o drugą ścianę kabiny, albo o stojące w niej meble i sprzęty.

W południe usłyszałem bolesny, głęboki i przeciągły jęk, połączony z odgłosem spadającego ciała. Domyśliłem się, że biedny Kelly, wyczerpany z sił, zlecieć musiał z bocianiego gniazda na pokład i zabić się na miejscu... Upływa godzina, może dwie... i znowu z pod pomostu na przodzie statku dolały do moich uszu głucha wrzawa... Trwa dość długo, udrećca niezmiennie przykrem wrażeniem... Przypuszczam, że buntownicy zamkniętych tam marynarzy pomordować musieli, bo teraz zaległa cisza zupełna... okropne milczenie.

11 października. Godzina piąta wieczorem. — Niemowlę umiera. Potężna, wściekła, szalona burza miota okrętem bezustannie. Niema najmniejszej nadziei, by z taką, jak obecna załoga, dało się go uratować, choćby płynął w pobliżu bezskalnego lądu. Boże nas...

## ROZDZIAŁ XII.

Co było napisane na klamrze złotej, oraz w jaki sposób zdjąłem klucz z belki.

Nie potrzebuję chyba omawiać wrażenia, jakie odczytanie dziennika sprawiło na nas. Czytaliśmy go nieustannie, prawie bez przerwy, z ciążącym na piersiach brzemieniem bólu i żalu, nie robiąc uwag wcale i nie komentując tekstu. Tylko kiedy niekiedy drżenie głosu wuja, albo mój przyspieszony oddech i łzy, spływające po naszych policzkach — zwłaszcza gdyśmy czytali ustępy odnoszące się do mojej matki, tak czule i gorąco ukochanej przez ojca — świadczyły o naszym głębokim wzruszeniu.

Napisałem wyżej, żeśmy płakali. Tak, płakaliśmy obaj bardzo często. I jeden i drugi.

A jednak... Pomimo, że wysilałem się, by choć chwilowo zapanować nad bólem, od którego kurczyło się i drętwiało dziecinne serce w łonie, czułem przecież, że silniejsza stokroć od żalu panuje w niem obecnie zimna nienawiść, potęgująca się z każdą minutą. W rzeczy samej, gdy o tem myślę, przyznaję, że do obudzenia jej było powodów niemało. Ręka, która kreśliła odczytane przez nas w pamiętniku wyrazy, leżała martwa, chłodna i nie-ruchoma; uszy, do których ojciec zwracał swe opowiadanie, ogłuchły na zawsze; tyle pięknych nadziei rozwinęła burza nagłych, zbrodnią wywołanych zgód... i oto na jednym łożu spoczęły zwłoki dwojga zmarłych, męża i żony, moich rodziców ukochanych. Czyż szereg tych tragicznych zdarzeń nie mógł i nie powinien był wywołać nienawiści?!... Więc nienawiść, bezsilna nienawiść oświadczyła moją duszę... Słowem, gdy wuj Loveday przerwał nagle lekturę, bo przewróciwszy kartkę, nie znalazł już na odwrotnej stronie dalszego ciągu dziennika, jedynem uczuciem, które z potężną mocą w sercu mojem rozgorzało — była tylko nienawiść.

Raz jeden przerwaliśmy czytanie, prosząc o zapalenie i przyniesienie lampy. Pani Busvargus przyniosła ją i odeszła zaraz. Józef Roscorla nie wrócił jeszcze z Polkimbra. Pozostawaliśmy zatem ciągle sami, przybici, zgębnieni grozą strasznej relacji.

Gdy wujaszek skończył czytać, wyciągnął machinalnie ręce, aby pochwycić leżącą obok siebie

fajkę. Napełnił ją tytoniem i wzniosł w górę oczy. Na jego pocziwej twarzy połyskiwały ślady łez i łzy zwilżały jego powieki.

— Zabity! — mruknął żałośnie. — Powinienem raczej powiedzieć: zamordowany!

— Tak — odezwał się jak echo — zamordowany!

— Lecz pochwycimy nędznika — ciągnął dalej, uderzywszy w stół pięścią z niezwykłą energią. — Pochwycimy, pomimo całej jego zręczności! Wszakże pochwycimy, nieprawdaż, mały?

— Jeszcze nie — odparłem — jest już bowiem obecnie pewno za daleko. Lecz pochwycić go musimy i pochwycimy niezawodnie!

Wuj spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, następnie przyglądał mi się chwilę uważnie, w końcu powtórzył za mną:

— Tak, pochwycimy go niezawodnie... i to tywego! Joe Roscorla musiał już tam narobić gwałtu, a zbrodniarz, w tak krótkim czasie, nie zdołał prawdopodobnie ująć zbyt wielkiego kawału drogi. I pomyśleć sobie — mówił dalej, wyciągając ręce ku niebu — i pomyśleć sobie, że przemawiałem do tego łotra wczoraj rano, jak do jakiejś nieszczęśliwej a sympatycznej ofiary wzburzonego morza!

Nie wątpię, że wujaszek w tej chwili szczerze żałował, że wyekspensował się napróżno z wielu świetnych, krasomówczych zwrotów, bo przyznać trzeba, że w rzeczy samej rzadko kiedy udawało mu się przemawiać tak pięknie, jak owego smutnej pamięci poranka.

— Perły, istne perły, rzucone przed wieprza. Wieprza, powiedziałem? Nie, przed węza, jeśli nie jest ubliżeniem nawet dla węza, porównywać go z takim Colliverem. Ale co mówiłeś do mnie, Kasprze?

— Musimy go pochwycić!

— Kasprze, kochany chłopcze — rzekł wuj, spoglądając znowu na mnie ze zdziwieniem — czy nie byłoby dobrze, gdybyś położył się do łóżka? Powinienbyś spróbować przespać się trochę. He! co myślisz o tem?

— Myślę — odpowiedziałem — że nie obejrzelibyśmy jeszcze klamry.

— Drogi chłopcze, masz słusność. Masz znowu słusność! Zobaczmy!

Przedmiot metalowy, ujęty przez wuję w ręce, był połową klamry od paska, połową z kółkiem do zaczepiania w niem haczyka; brakło zaś drugiej połowy z haczykiem. Pod światłem lampy błysnęła ona jaskrawo, w chwili, gdy wuj chustką oczyszczał jej powierzchnię i poprawiwszy okulary na nosie, pochylił się nad nią.

Po upływie minuty podniósł głowę i rzekł:

— Nic a nic nie rozumiem! Przeczytać to bardzo łatwo, lecz doszukać się w tem jakiegoś sensu ani rusz! Chodź-no tu i zobacz sam!

Brzegi klamry rytowane były wokoło wytworną ornamentacją o motywach kwiatowych i zwierzęcych. Pod spodem, w środku, znacznie niezręczniejsza ręka wyryła napis, rzeczywiście łatwy do przeczytania, lecz pozbawiony wszelkiego znaczenia. Wielkie litery łacińskie, przeplecione tu i owdzie cyframi arabskimi, były jak poniżej ustawione w pięć wierszy, czyli raczej w pięć rzędów.

KSIEŻYCA. KONIEC. POŁUDNIOWEGO.

P. P. Z. 22. STÓP.

KU PÓLNOCY.

GŁĘBOKOSCI. W PUNKCIE.

ODPŁYWU. 1 GODZINA 1/2.

Ze dwanaście razy przeczytałem powyższe wyrazy, a nie mogąc ich sobie wytłómaczyć, spojrzałem na wuję żałośnie.

— Kasprze — rzekł on — według mego przekonania, wyrazy te nie posiadają żadnego znaczenia.

— I ja tak sędzę, wujaszku.

— Lecz posłuchaj! Widocznie mamy tylko połowę klamry, odkrytej przez twego ojca. To jasne, jak słońce! Otóż teraz należy zadać sobie pytanie: co się stało z drugą połową, z tą, w której był haczyk do założenia za to oto kółko? Przypomnij sobie, czy nie więcej nie oddał ci Railton?

— Nic więcej.

— Jesteś tego bezwzględnie pewny?

— Bezwzględnie, wujaszku.

— Czy nie pozostawiłeś drugiej połowy w oborze?

— Nie. Przed ukryciem pakietu, obejrzałem go dokładnie i zauważyłem od razu, że był w nim tylko ten jeden kawałek metalowy.

— Dobrze. Ponieważ, jak wiemy, połowa zaginęła, nasuwa się teraz drugie pytanie: co się z nią stało?